



MATEJKO-STEFAN BATORY POD PSKOWEM - ROK 1581



Ilustracja
PARADA

ROK I

NIEDZIELA, 28 LISTOPADA 1943 R.
SUNDAY, NOVEMBER 28, 1943

Nr 1

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 Rls., w Anglii 6 d., w Afryce Wsch. 6 d



W czasie swej podróży na Środkowy Wschód Naczelny Wódz Gen. Broni Kazimierz Sosnkowski spotkał się z Gen. Sir H. Alexandrem, Dowódcą wojsk sprzymierzonych we Włoszech i odbył z nim dłuższą rozmowę



Dowódca APW Gen. Anders wręcza sztandar Dowódcy dywizji



Sztandar jednej z dywizji APW ufundowany przez uchodźstwo polskie w Palestynie. Obok stoją rodzice chrzestni sztandaru



Naczelny Wódz wygłasza przemówienie do żołnierzy



Kompania honorowa ze sztandarem

WIELKIE DNI ARMII POLSKIEJ NA WSCHODZIE

Armia Polska na Wschodzie przeżywała ostatnio swe wielkie dni. Wręczenie sztandaru N-tej Dywizji piechoty w dniu 25-lecia Niepodległości, przegląd M-tej Dywizji piechoty przez Naczelnego Wodza i wygłoszone tam przez przemówienie do żołnierzy, wszystko to stanowiło przeżycia, które długo przetrwają w żołnierskich duszach. Pokrzepiły one armię na duchu, upewniły ją, że Naczelny Wódz, jak i społeczeństwo polskie otaczają ją serdeczną troskliwością. A taka świadomość w przeddzień wyruszenia na front walki z wrogiem — to rzecz cenna.

Wczesnym rankiem, gdzieś w Palestynie, ustawiły się czworoboki oddziałów N-tej Dywizji. Są również obecne oddziały reprezentacyjne innych jednostek APW, m. i. delegacja M-tej Dywizji ze swym sztandarem. Z boku wzniesiono ołtarz polowy, udekorowany biało-czerwonymi barwami. Za czworobokiem wojsk, przy szosie — trybuna, z której Dowódca APW odbierał ma defiladę.

Poświęcenie sztandaru odbyło się przedtem w Jerozolimie, u Grobu Zbawiciela. Po nabożeństwie i kazaniu przez Komitetu, p. Godlewski, wygłasza przemówienie i wręcza sztandar Dowódcy APW Generałowi Andersowi. Dowódca APW odpowiada, dziękując uchodźcom polskim za dar i obiecując, że żołnierz polski potrafi strzec go i otoczyć nieśmiertelną chwałą. Następuje chwila przekazania sztandaru Dywizji. Przed Generałem Andersem staje jej dowódca, płk. S. Generał trzyma sztandar w ręce. Na biało-czerwonym tle błyszczą nazwy Tocka i Tatyszczewa, Lwowa i Wilna. Pośród srebrzy się Orzeł. Generał Anders wręcza sztandar dowódcy Dywizji. Orkiestra gra Mazurka Dąbrowskiego. Sztandar M-tej Dywizji piechoty, odkryty już chwałą bitew pod Tobrukiem i Gazalą, salutuje nowego koleżę.

Uroczystość kończy się defiladą, trwającą przeszło godzinę. Odbiera ją Dowódca APW w towarzystwie generała brytyjskiego, generalicji, wyższych oficerów polskich i brytyjskich, przedstawicieli władz cywilnych z konsulami generalnymi R. P. w Jerozolimie i Tel-Awivie na czele, członków komitetu ofiarującego sztandar oraz licznych delegacji uchodźstwa. Maszerują sprężystym krokiem oddziały dywizji, delegacje innych jednostek armii, junacy, P.S.W.K. Postawa żołnierzy jest wspaniała.

W dwa dni później przybył Naczelny Wódz. Wyłądował na jednym z lotnisk Palestyny. Wysiadł z polskiego samolotu pilotowanego przez polskich lotników, mających za sobą wspaniałe karty sportowe i bojowe. Jeden z nich brał udział w słynnych „tysiąc-aparatowych” lotach bombowych na Kolonię i Essen.

Naczelnego Wodza oczekiwał Dowódca APW w otoczeniu generalicji i wyższych oficerów sztabowych. Na lotnisku ustawił się jeden z pułków ułańskich ze

sztandarem. Licznie zgromadzili się lotnicy brytyjscy.

Wreszcie samolot lądował. Generał Anders składa raport Naczelnemu Wodzowi. Orkiestra gra hymn narodowy. Naczelny Wódz wita się serdecznie z oczekującymi przedstawicielami władz wojskowych i cywilnych, po czym odbiera świetni i dumni z przypadającego im zaszczytu, maszerują przed Naczelnym Wodzem. Generał Sosnkowski jest zadowolony z ich postawy. Widać to po jego uśmiechu.

Dziś znowu M-ta Dywizja przeżywa swój piękny dzień. Jest ona pierwszą wielką jednostką APW, której przypada zaszczyt zaprezentowania się Naczelnemu Wodzowi. Oddziały dywizji ustawiły się czworobokiem. Ołtarz polowy ubrany jest w chorągwie polskie, brytyjskie i amerykańskie. Wkrótce szereg żołnierskie zastygają w kamiennym bezruchu. Na błonie przybywa Naczelny Wódz. Jest z nim Dowódca APW, jest minister Strasburger oraz wielu innych dostojników wojskowych i cywilnych. Generał Sosnkowski przejeżdża przed frontem oddziałów. Bacznie przypatruje się swym żołnierzom.

Po nabożeństwie Generał Anders wita Naczelnego Wodza żołnierskim, pełnym wiary i zapału przemówieniem. Kończy odkryciem na jego cześć. Po chwili wchodzi na trybunę Generał Sosnkowski. Zaczyna mówić. Każde słowo tej mowy posiada swą wielką wagę i ciężar gatunkowy. Megafony roznoszą słowa jego po błoniu i powtarzają zasłuchanych żołnierzom. Wódz Naczelny mówi o nagłej potrzebie jedności narodowej, o rzadzie i jego prawach, o obowiązkach żołnierza. Mówi o ciężkiej, heroicznej, a także niebezpiecznej walce Kraju, o drodze i świętych prawach Polski do jej wszystkich ziem i dzieci. Był to jakby potrzebny manifest do żołnierzy, wyruszających do walki.

Wspaniale wypadła defilada dywizji. Szły przed Naczelnym Wodzem oddziały wstawione bojami pod Tobrukiem, Gazalą i na pustyni libijskiej. Defilowali starzy wiarusi, zahartowani w walkach, a obok nich młodzi koledy, którzy pójść mają dopiero na chrzest bojowy. Szły oddziały N-tej Dywizji, tej, która na parę dni przedtem otrzymała swój sztandar. Maszerowali wspaniale prezentujący się pancerniacy, szkoły podchorążych, kadeci, oddziały P.S.W.K. Ze swej trybuny Naczelny Wódz spoglądał z miłością i dumą na swe wojsko.

I gdy potem odjechał do Jerozolimy, aby pomodlić się u Grobu Zbawiciela, może pragnął podziękować Mu za ten cud odrodzenia Armii polskiej i prosić Go o błogosławieństwo na drogę...

W HURAGANOWYM OGNIU POLSKICH DZIAŁ

Żołnierz polski na Wschodzie wyruszył ma niebawem do akcji. Wyraźnie zapowiedział to rozkaz dzienny Naczelnego Wodza, wydany w związku z jego podróżą na Śr. Wschód. Toteż armia gorliwie sprawdza obecnie swą gotowość bojową. Trudny egzamin zdawała ostatnio jej artyleria. Nie bylejakie były ćwiczenia, jakie zademonstrowała Naczelnemu Wodzowi. Setki dział polowych i ciężkich przeprowadziły strzelanie ostrymi nabojami. Złudzenie prawdziwej, wielkiej bitwy było zupełne.

Obszerna, piaszczysta równina, gdzieś w Palestynie, obramowana jest z dwóch stron nie wysokimi wzgórzami. Z jednej strony ciągnie się ich pasmo, i one to właśnie stanowią mając obiekt dzisiejszego natarcia piechoty. Z drugiej — dwa wzgórza, jedno wyższe, drugie — nieco niższe. Tutaj ustawione zostały punkty obserwacyjne.

Objasniają nam założenie ćwiczeń. Przed paru dniami nieprzyjaciel wysadził desanty w znacznej sile, w pobliżu miejsca, w którym znajdujemy się obecnie. Jednostka naszej piechoty, która przeszła do kontrakcji, zdołała odeprzeć go aż do położonych po przeciwległej stronie równiny wzgórz, które nieprzyjaciel zajmuje w chwili rozpoczęcia ćwiczeń. Dzisiejszym zadaniem piechoty jest wyprzeć go stamtąd. Natarcie jej poparte będzie przez potężną zaporę artyleryjską. Strzelać się ma ostrymi nabojami, zaporą zaś ogniową stworzona być winna w bardzo niewielkiej odległości przed nacierającą piechotą i przesuwana naprzód, w miarę osiągania przez piechotę wyznaczonych jej obiektów. Strzelać trzeba nadzwyczaj czujnie i precyzyjnie, gdyż o wypadek nie trudno. W akcji ma wziąć udział wiele jednostek artyleryjskich, ogień zaś ich skoncentrowany będzie na odcinku o długości zaledwie 1.600 mtr.

O godzinie ósmej rano zaczyna się próbną wstrzelanie się dział. Dokoła nas huczą pierwsze gromy wystrzałów. Na równinie, u stóp naszych, wykłwita pióropusz dymu, jeden, drugi, trzeci. Czasem widać wśród nich nagły błysk. To pękają pociski. Huk wzmagą się szybko, salwy stają się częstsze. Raz po raz słyszemy nad głowami przeciągły gwizd.

Przed godziną dziesiątą ogień milkinie nagle. Odzywają się megafony i raz jeszcze podają dokładny program ćwiczeń. Dowiadujemy się, że czas trwania głównej zapory ogniowej wyniesie 63 minuty. Wyszczególniają nam jednostki artyleryjskie, biorące udział w akcji.

Pod wzgórze zajeżdża sznur samochodów. Z pierwszego wysiada Naczelny

Wódz w towarzystwie Dowódcy APW. Wraz z min. dr Strasburgerem, kierują się ku wyznaczonym dla nich miejscom. Otacza ich generalicja polska i brytyjska, wyżsi oficerowie sztabowi obu armii oraz przedstawiciele innych alianckich sił zbrojnych. Na drugim wzgórzu — prasa.

Punktualnie o dziesiątej zagrzmięły wszystkie działa. Początkowo zdawało się po prostu, że świat się wali dokoła. Ogromne natężenie ognia, dochodzące do rozmiarów El Alamein, oszalało i waliło młotami w skroniach. Poszczególne wystrzały i salwy zmieniły się niebawem w ciągłą, wspaniałą w swej potędze, symfonię wielkiej bitwy.

A tymczasem tam, na dole, na piasku równiny, rozpoczyna się akcja. Dymy wybuchów mnożyły się i rozpełzały coraz szerzej, aż wreszcie utworzyły chmurę olbrzymią, która przesłoniła wzgórze i wszystko. Nagle, pomiędzy nami na górze i ową ścianą dymu na dole, pojawiły się długie szeregi maleńkich, czarnych punkcików, posuwających się szybko i sprawnie w kierunku pękających pocisków. Wylała się ich na równinę jedna fala i druga. To nacierająca piechota. W rzadkich chwilach przerw między salwami armatnimi wpada w zgiełk symfonii bitewnej zjadliwy terkot karabinów maszynowych. Między czarnymi punkcikami ludzkimi uwija się tu i ówdzie jakiś „Jeep” dowódcztwa. W miarę jak piechota posuwa się ku zasnutym chmurą dymu wzgórzom, zbliża się do nich również i owa ściana zaporowa ognia artyleryjskiego. Gdy tylko piechury osiągną jakiś obiekt, sygnalizują o tym bateriom kolorowymi rakietami.

W głowie i uszach huczy nie na żarty. Pełna godzina takiego ognia, tysiące wystrzelonych pocisków, nieustanny gwizd nad głowami i orgia wybuchów tam, na dole, robią swoje. Zdajemy sobie teraz w pełni sprawę z potworności widowiska, któremu na imię „bitwa nowocześnie”, równocześnie zaś podziwiamy zdolność człowieka, który w tak mistrzowski sposób opanował zdołał narzędzia i rekwiizyty tej scenerii. Wybuchy pocisków przeniosły się już daleko i ukryły gdzieś za wzgórzami.

Wreszcie ogień milkinie. Zadanie bojowe zostało wypełnione. Teraz poszczególne pułki artylerii wykonywać będą wyznaczone im ćwiczenia. Natężenie ognia jest już znacznie słabsze, gdyż akcja znajduje się mniej dział równocześnie. Naczelny Wódz w towarzystwie Dowódcy APW podchodzi do dziennikarzy, wita się z nimi, wyraża zadowolenie z przebiegu ćwiczeń. Dowiadujemy się, że zadania wypełnione zostały zna-



Zapora ogniowa artylerii

komicie. Po Naczelnym Wodzu przemawia krótko do dziennikarzy generał Anders. Wyraża radość z powodu doskonałej postawy i wyćwiczenia artylerii APW. Thumaczy, jak bardzo ćwiczenia były trudne. Zaznacza, że dziś, gdy pałyśmy na tak znakomicie wyćwiczoną i zaopatrzoną armię, trudno mu nie wspomnieć cierniowej drogi, po której żołnierz ci szli ku temu, co jest obecnie.

W drodze powrotnej oglądamy porozmieszczane na przyjeździe, ciepłe jeszcze od wystrzałów działa. Są wpuszczone w piasek pustyni i świetnie zamaskowane. Tworzą jedną całość z szaro-białym tłem otoczenia. Gwarzą przy nich wesoło artylerzyści w hełmach, zadowoleni z dnia dzisiejszego i dumni z sukcesu. Artyleria APW dobrze zdała egzamin.

R. F.

Podczas ćwiczeń artyleryjskich gdzieś w Palestynie: Naczelny Wódz Gen. Broni Kazimierz Sosnkowski — Dowódca APW Gen. Anders i minister dr Strasburger



Naczelny Wódz na zamaskowanej pozycji artyleryjskiej





Kraina skał i śniegów — okolice przełęczy Keleszin

WŚRÓD GÓR KURDYSTANU

Typ Kurda z plemienia Baradost



Znane są dobrze każdemu prawie z nas, polskich żołnierzy na Wschodzie, pięknie w tygry słońca żaru równiny czy wzgórz Iraku, tak beznadziejnie szaropłowe w ciągu długich miesięcy roku. Nie cały jednak ten kraj jest taką wypraną w upale pustynią. Jego północno-wschodnią połac pokrywają wysokie góry, sięgające ponad 4000 metrów powyżej poziomu morza. W czasie, gdy na równinach panuje wysuszające krew w żylach gorąco, tam w skalistych wąwozach Kurdystanu mamy świeżość wiosny. Krzakami karłowatego dębu porośnięte, ciągną się łańcuchy grzbietów i wierzchołów, wyżej zaś znajdują się, otoczone amfiteatrami uśnieżonych turni, wysokogórskie łąki zwane „merg”. Srebrzyste węże potoków wiją się licznymi skrętami wśród jaskrawo zielonej trawy. Widzi się zbrocza porośnięte fioletową szafnią albo też żółte do baldaszkowatych kwiatów dzikiego kopru. Do skał tuł się czarne namioty koczowników, a stada koni hasają po halach.

Mieszkańcami tego pięknego kraju są Kurdowie, lud irańskiego pochodzenia, mówiący językiem podobnym do perskiego, a wywodzący się zapewne od starożytnych Medów. Fizycznie są oni niewątpliwie najładniejszą rasą na Srodkowym Wschodzie: średniego wzrostu, silnie, a zarazem proporcjonalnie zbudowani, zwinni jak prawdziwi górale, rysami twarzy nieraz przypominają Huculów. Strój kurdyjski składa się z dwóch kurtek włożonych jedna na drugą, przy czym spodnia jest zapinana pod szyję, wierzchnia zaś, pozbawiona kołnierza, ma poły skrzyżowane u dołu, ale na piersiach pozostaje szeroko otwarta. Bardzo długie rękawy koszuli wyciągnięte na zewnątrz, zwykle są owinięte dokoła przedramion, służąc najczęściej za rodzaj chustki do nosa. Dolną część ciała okrywają pantalone o bardzo szerokich nogawkach, a stopy tkwią w skórzanych kierzpach. Biodra Kurd owijają sutym pasem z bardzo długiego szala, skręconego na kształt powroza, a głowę przykrywa mała, haftowana czapeczka, którą otacza wielkim, czarnym, w jaśniejsze nieco pasy, turbanem z frendzlą. Każdy prawie nosi za pasem krzywy nóż, a kto może, obwiesza się także ładowicami z amunicją, nie rozstając się z nimi nawet we własnym domu. Broń jest dumą i marzeniem każdego Kurda.

Kurdowie dzielą się na liczne plemiona, często rozpadające się na szczepy i jeszcze mniejsze rozgałęzienia. Na czele plemion stoją „agowie”. Tytuł ten znaczy tyle co „pan”, niektórzy jednak z naczelników mają godność „miranów” (książąt), „begów” lub „chanów”. Aga wywodzi się zawsze z jakiejś „panującej rodziny”, w której godność naczelnika plemienia jest dziedziczna, przechodząc w zasadzie z ojca na najstarszego syna, gdy jednak ten jest nieudolny, obejmuje ją ktoś inny z najbliższych krewnych.

Jedne plemiona kurdyjskie zamieszkuje w stałych siedzibach, po wsiach, składających się z chat o płaskich dachach, zbudowanych najczęściej na stokach gór w kształt jakby tarasów, inne wolały życie koczownicze pod namiotami z czarnego, szorstkiego samodziału. Tryb życia obejmuje zresztą całą skalę od osiadłości do koczownictwa, mamy bowiem szczepy całkowicie osiadłe i takie, które po wsiach mieszkają tylko w zimie, latem przemieszczając się na hale, wreszcie i takie, które nie znają innego dachu nad głową jak „reszmal” — „czarny dom” — namiot z koziej wełny. Oczywiście, osiadli zajmują się przede wszystkim uprawą roli, koczownicy (po kurdyjsku — „koczer”), hodują bydło, a przede wszystkim — owiec. Często w jednym i tym samym plemieniu mamy rolników-osiadłych i koczowników-pasterzy. Pod tym względem panuje bowiem wielka różnorodność. Najważniejszym plemieniem, całkowicie koczowniczym, na terenie Iraku są Herki, a raczej jeden z trzech szczepli tego plemienia — Serhati. W zimie rozbijają oni swe czarne namioty w okolicy Erbilu, na lato jednak wyruszają za perską granicę na chłodne wyżyny w okolicach jeziora Urmia, nieopodal miasteczka Usznu. Są oni jednak uważani za obywateli irańskich, przynależność bowiem państwową koczowników jest ustalana według tego, gdzie zamieszkują w zimie. Do plemion półkoczowniczych, latem mieszkających pod namiotami, a zimą we wsiach, należą: Baradost, Surcz, Cheilani, Balak, Piżder i inne. Plemieniem całkowicie osiadłym są np. Chosznau, których naczelnicy zamieszkują w Szaklawie (na wschód od Erbilu). Oczywiście, wymienione plemiona stanowią tylko drobny cząstek szczytowej mozaiki gór Kurdystanu.



Karabin jest dumą i marzeniem każdego Kurda

Dawniej najulubiejszym zajęciem Kurda były wojna i rabunek. Dziś jest to oczywiście utrudnione, nieraz jednak daje się on ponosić wojowniczym temperamentowi. Krwawa zemsta jest najważniejszym prawem w niepisanym kodeksie górskim. Za życie zabitego, życiem swym musi zapłacić zabójca lub ktoś z jego rodziny albo plemienia. Jeśli jeszcze chodzi o kogoś „pospolitego”, sprawę można załagodzić, zapłaciwszy „okup za krew”, w wypadku jednak zabicia „agi”, wojna między plemionami, czy nawet szczeplami tego samego plemienia, wlecie się nieraz przez całe pokolenia. Oczywiście, nie jest ona podobna w niczym do naszych zajadłych europejskich wojen. — Polega na urządzaniu od czasu do czasu — gdy wzbierze chęć wojowania — wypraw trwających po kilka dni.

Kurdowie walczą zwykle pieszo, koni używając tylko jako środka lokomocji. Pozostawiając je w dobrym ukryciu, rozsypują się w rój i zbliżają do nieprzyjaciela biegiem, szukając przy tym ukrycia za skałami. Celnymi strzałami zasypują wroga — mierząc w piersi lub głowę. Ponieważ odwagi im nie brakuje, bitwa najczęściej koczy się tym, że podszedłszy na „odległość szturmową”, rzucają się na wroga z nożami w rękach. Czasem jednak jedna ze stron wyzerpawszy amunicję, której nie mają zbyt wiele — rezygnuje z oporu i bierze nogi za pas, nie z ichórzostwa zresztą, ale po prostu ze względu na charakter tego rodzaju wojny, będącej w rzeczy samej

partyzantką, kierującą się zasadą „napadaj i uciekaj”. Niektóre plemiona mają jednak zwyczaj walczyć konno. Takim plemieniem są Hamawandowie, obecnie zajmujący się spokojnie rolnictwem. Przed pierwszą wielką wojną byli oni prawdziwym postrachem okolic Kirkuku i Sulaimanii, mimo bardzo małej liczebności, rozporządzali bowiem tylko około 250 wojownikami. Przeciw tej garście zachwałych rabusiów Turcy zgromadzili w 1909 roku korpus złożony z 10 tysięcy wojska. Część plemienia poprzednio jeszcze została deportowana do Trypolitani (wówczas należącej do Turcji), skąd jednak Hamawandowie wkrótce powrócili, chwając się przy tym, że „obrobowali wszystkich spotkanych po drodze”.

Kobiety kurdyjskie nie zastaniają twarzy, chyba wobec cudzoziemców — i słyną z energii. W niektórych plemionach kobiety-wojowniczki nie były rzadkością. Wiele wśród nich spotyka się ładnych, ciężka jednak praca powoduje najczęściej szybki zanik urody.

Góry Kurdystanu, niegdyś wrące od międzyplemiennych walk, dziś są spokojne, a dzielni górale z niezwykłą gościnnością witają obcych, starając się zawsze okazać jak najwięcej serdeczności pod własnym dachem. W ostatnich paru dziesiątkach lat powstała dość liczna warstwa inteligencji kurdyjskiej, a również w życiu politycznym Iraku, Kurdowie, jako najpotężniejsza mniejszość narodowa (jest ich tu zapewne około pół



Kurdyjski lubią ubierać się barwnie

miliona), mają swój głos. W parlamencie kurdyjskich, a w każdym rządzie conajmniej jedna teka dostaje się któremuś z polityków kurdyjskich. Ponieważ Kurdowie są doskonałymi żołnierzami, bardzo znaczna część armii irańskiej, także i korpusu oficerskiego, składa się z tych dzielnych górali. Wielu z nich pochodzi z miasta Sulaimania, największego w Kurdystanie irańskim i stanowiącego główny ośrodek kulturalnego ruchu kurdyjskiego,

gdzie wydawane są pisma i książki. Na zakończenie można dodać, że imię Polski było Kurdom nie obce, nawet przed przybyciem Polaków do Iraku, jeden bowiem z kurdyjskich oficerów armii irańskiej, niezjący już podpułkownik Mahmud Dżaudat napisał książkę pod tytułem „Lehistan czyli Polska”, ozdobioną szeregiem ilustracji, a mówiącą o przeszłości naszego kraju i naszej walce o wolność.

Włódek Rajkowskiego

Włódek kurdyjski w wąwozie Berserini — w okolicy Rawanduzu



Śniegiem ubielone szczyty wznoszą się nad niższymi wierzchołkami, porośniętymi szaflią



Wzgórze porośnięte karłowatymi dębami wygląda jak olbrzymi park



POLSCY „FILISTYNI” W OBRONIE GALILEI

W Galileę, biblijny kraj wzgórz kamienistych i dolin malarycznych, spłynęło wojsko polskie, falą rytmiczną, szybko przerzucającą całą wielką armię — artylerię i piechotę, saperów, łączność, kawalerię pancerną i długie szeregi sanitarek. Armia „filistyńska” — taką otrzymaliśmy nazwę — skoncentrowała swe siły dla obrony kraju przed nieprzyjacielską armią „Lewantu”.

Zjawili się „żubry” w towarzystwie „syren” warszawskich, wyrosły i „choinki”, goście nieznanymi, obcy tej ziemi, którą teraz oży-

wili — uśmiechem, szczękiem broni i... generalnym atakiem, przypuszczonym na pozycję „lewantyńską”. Walki rozgrywane się w wielkim trójkącie Tel-Awiv—Jerozolima—Tyberiada były bardzo zacięte i krwawe, o czym decydowali rozjemcy, uśmiercający i wysadzający w powietrze. Widziało się nie wiele. Raczej trzeba było wiedzieć, żeby coś zobaczyć w tym terenie, do którego tak doskonale przystosowały się oddziały. Chytrze ukrytym „pelotkom” niemal pod lułą nalaatywał nieostrożny myśliwiec nieprzyjacielski, atakują-

cą piechotę trudno było odróżnić od szarego tła.

Na wojnie, jak na wojnie... Tak i tutaj, w tej wojnie dziwnych „Filistyńców” zdobywane były miasta, niszczone drogi i uwalniana ludność, z czego szczególnie cieszyły się młodsze ochotniczki. Zniszczenie, przerwanie szosy zatrzymywało kolumny samochodowe na kilka godzin nawet bez orzeczenia rozjemcy. Niszczono naprawdę i gruntownie. Sytuację ratować musieli saperzy, naprawiając drogi i rozbrajając miny. „Na niby” nie był również temperament obu stron walczących, zwłaszcza naszych wrogów, tej bajecznej pastrej w kolorze i typie armii „lewantyńskiej”. Czarne oddziały wschodnio-afrykańskie, transjordańska straż pograniczna, strzelcy libańscy, Senegalczycy, legion arabski i Hindusi z wojowniczych plemion Ohurkh'ów i Sikh'ów, — oni wszyscy, którzy poza Anglikami i Grekami tworzyli armię „Lewantu”, zdradzali często ochotę zamienienia ćwiczeń na rzeczywistą wojnę. Stąd wiele starć i wypadków, kończących się dobrze — przyjacielskim uśmiechem, a źle — bityskami na czarnych twarzach, i pogaduszką w dziwnym żargonie, doprawdy — filistyńskim. Jednego z takich zapalczywych wrogów, strzelca libańskiego, furia ataku wrzuciła na... polski samochód pancerny, którego proporczyk był tak nęcący. Napastnik poszedł do niewoli, a nóż został zdobyty.

Odzież w Palestynie w pogodny ranek zagrały trąbki i rozniósł radio: „Koniec ćwiczeń!”. Koniec siedmiodniowej wojny, w której walczono nie tylko z nieprzyjacielem, ale i z czasem, nie tylko o wzgórze i drogi, ale również i przede wszystkim o dokładność, szybkość i punktualność dostaw amunicji, wody, żywności. To nie była zabawa, a ciężka praca. Żołnierz i dowódca dać z siebie musieli wszystko, sprawdzian gotowości bojowej dać sobie i innym, i pilnym obserwatorom brytyjskim.

Trudu tych ćwiczeń nie wyrażają dostatecznie cyfry sześciu milionów kilometrów przejechanych przez kolumny, tysiące funtów kosztów naprawy zniszczeń drogowych, dokonanych przez „nieprzyjaciela”, ani te tysiące kilometrów linii telefonicznych, położonych przez „drużyny”. Ten trud stał się własnością żołnierza przez pot jego i świadomość widocznej sprawności, przez uznanie sojuszników. Trud ten, dziś realnie nieuchwytny, dopiero przyszłość ujmie w wielkość najwyższego wysiłku: gdy broń naszą sprawdzimy na wrogu śmiertelnym.

Strzelcy Libanu, nasz „wrogowie”



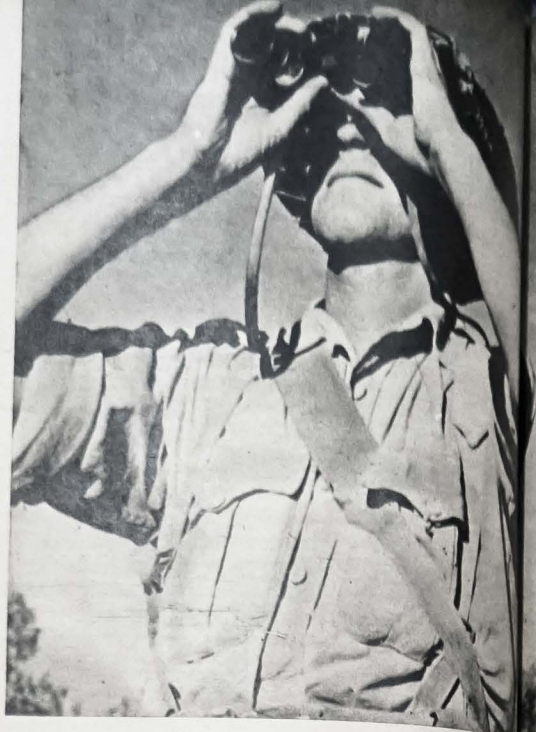
Żołnierze Afryki Wschodniej



Walczyliśmy również z bitnymi Gurkhami



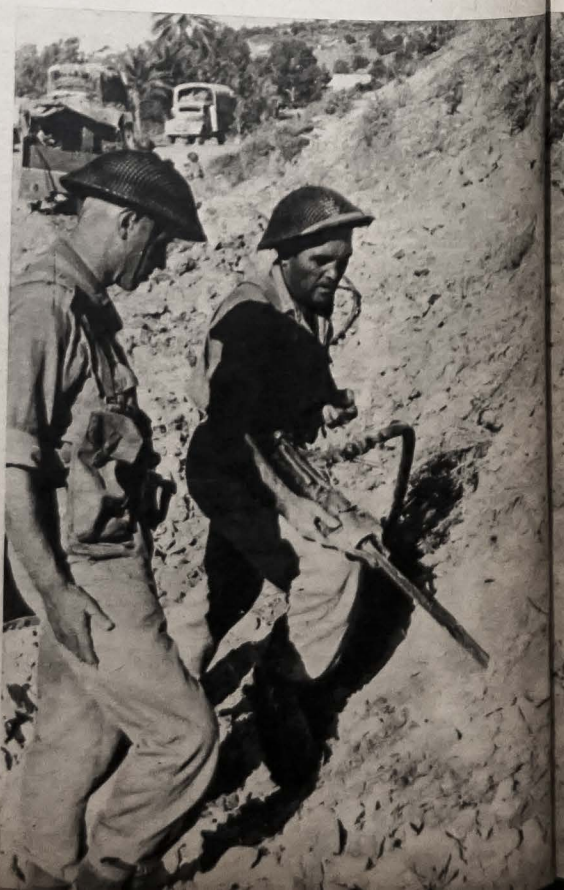
Piechota hinduska



Chwila oczekiwania: nieprzyjacielski, czy nasz?



Szczerzą zęby w uśmiechu, Senegalczycy



Saperzy ciężko pracowali przy naprawie dróg



Piechota naddęga



Saperzy ciężko pracowali przy naprawie dróg



Pancerny „Marmot” czyha na lewantyńskich myśliwców



Dowódca dywizji naradza się ze sztabem

W przerwach rżnie się w karty





Szach i Królowa Iranu otrzymują od harcerzy polskich kwiaty i... uśmiech

PRZEGRALIŚMY Z PERSAMI



Kapitanowie drużyn wymieniają pamiątkowe proporzki

Stadion sportowy Teheranu dostojnie nabit publicznością. Strzelają salwy oklasków, zrywają się okrzyki, czasem wrzask wybuch radości... Gdzie okiem spojrzeć — młodzież, młodzież! Na widowni i boisku, na bieżni, skoczni i rzutni. To

zawody sportowe Polaków z Persami. Lekko-atletyczne spotkanie między zespołami młodzieży polskiej i perskiej rozegrane zostało 27 października br. z okazji urodzin Szacha. Polaków reprezentowali uczniowie gimnazjów, a gospodarz, dobrze wytrenowani młodzi sportowcy. Wynik 42:21 dla Persów.

Przeegraliśmy. Ale zawody rozegrane w atmosferze rycerskiej i przyjaznej stały się jeszcze jednym węzłem polsko-irańskim, tym silniejszym, że przez młodzież zawiązanym. A piękny proporzec perski nasi chłopcy zawiozą do Polski. No, tego jeszcze nie było.

Na zawodach obecny był również Szach z Królową, którym Poseł R. P. przedstawił zespół polski.

SZEŚCIU SPRAWIEDLIWYCH DECYDUJE O URLOPACH DO DOMU

Korespondent wojenny „Daily Expressu” Eric Bigio podaje interesujące szczegóły na temat techniki załatwiania próśb o urlop w wypadkach, gdy żołnierz pragnie jechać do Anglii. Zdejmy sobie sprawę, że setki tysięcy żołnierzy angielskich od lat pełnią ciężką służbę zdaleka od domów na wszystkich morzach i kontynentach świata. Przejazd choćby ze Środkowego Wschodu do Anglii jest rzeczą bardzo skomplikowaną, a cóż mówić o Dalekim Wschodzie.

Są jednak okoliczności wyjątkowe, kiedy przejazd do Anglii jest nieodzowny, kiedy ważne sprawy rodzinne czy finansowe usprawiedliwiają w pełni prośbę żołnierza z VIII armii, czy innej formacji. Kto w takim wypadku decyduje — kto

bierze na siebie odpowiedzialność za odmowę, czy pozytywne załatwienie próśb o urlop do Anglii.

Posłuchajmy: pewnego dnia w zeszłym tygodniu sześciu ludzi zebrało się w Dowództwie Armii Środkowego Wschodu. Czterech z nich to oficerowie — dwóch pozostałych to szeregowcy. Narada tych sześciu sprawiedliwych odbywała się przy drzwiach zamkniętych i trwała sześć godzin. Rada sześciu rozpatrzyła 150 podań żołnierzy i oficerów służących w armii brytyjskiej na Środkowym Wschodzie i zdecydowała, którym z petentów należy udzielić urlopu do Anglii. Było to już trzecie z kolei posiedzenie tego komitetu od chwili powołania go do życia. Podania rozpatrywane są anonimowo.

Komitet sześciu nie interesuje się ani nazwiskiem, ani stopniem wojskowym petenta. Jest prośba żołnierza, który pragnie pojechać na urlop i na tym koniec. Ważne mają jedynie motywy, jakie petent przytacza.

Z owych 150 próśb o urlop większość dotyczyła spraw rodzinnych. Wielu żołnierzy motywuje konieczność wyjazdu sprawami finansowymi. Interes firmy, której są właścicielami wymaga powzięcia jakiejś ważnej, osobistej decyzji, czego nie można dokonać bez uprzedniego dokładnego zbadania sprawy na miejscu. Choroba żony, kwestie opieki i wychowania dzieci, sprawy spadkowe — oto główne motywy podań.

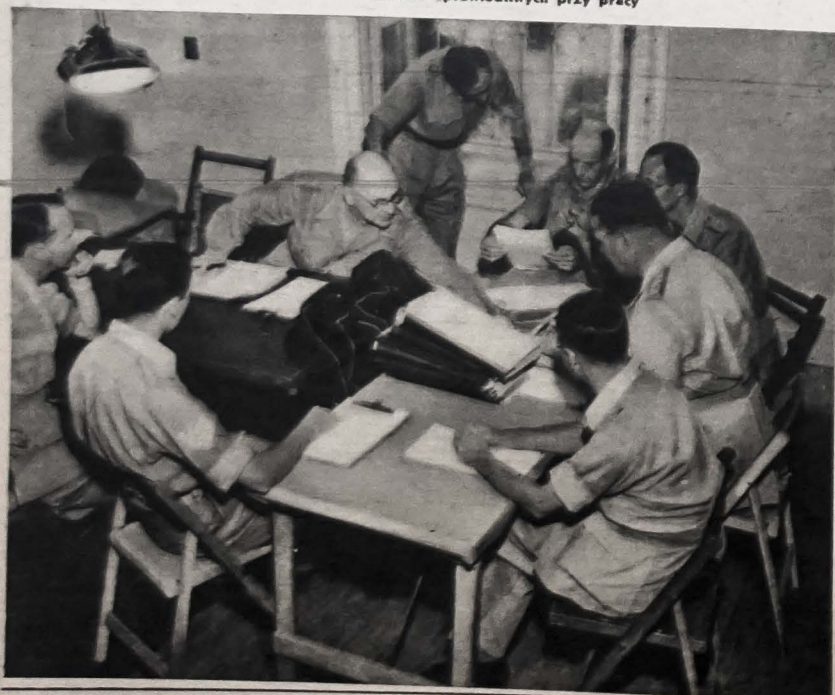
Komitet nie ogranicza się do suchego urzędowania. To nie jest biurokracja instytucja. Każda poważniejsza sprawa jest badana na miejscu. Np. petent powołuje się na chorobę nieuleczalną żony. Wówczas komitet za pośrednictwem zaufanych ludzi w Anglii bada rzecz na miejscu i stara się pomóc rodzinie petenta. Gdy wiadomości z Anglii potwierdzą stan podany przez proszącego o urlop, a komitet nabierze przekonania, że obecność danego żołnierza jest istotnie w Anglii nieodzowna — petent otrzymuje urlop.

Kim są ci ludzie, którzy decydują o tak ważnych życiowych sprawach? Nazwiska ich trzymane są w tajemnicy, ale są to naprawdę właściwi ludzie na właściwym miejscu. Przewodniczący major to członek rady nadzorczej wielkiego zakładu przemysłowego we Wschod-

niej Anglii. Brał czynny udział w wielkiej wojnie — spędził 4 lata we Francji, był pod Gallipoli. Trzech jego synów służy w RAF'ie, czwarty w marynarce, piąty w armii lądowej. Drugi członek jest również majorem, od 13 lat służy w armii, ma własne młyny w Maidlands i posiada wielkie doświadczenie przemysłowe. Czwarty członek jest wysłużonym wojskowym. Jest kapitanem i ma za sobą 25 lat czynnej służby. Z dwóch pozostałych członków tego „komitetu sprawiedliwych” — jeden jest sierżantem. Przed wojną pracował na giełdzie londyńskiej, obecnie pełni czynną służbę w jednej z jednostek na Środkowym Wschodzie. Drugi jest wybitnym działaczem społecznym, należał do trade-unionów i położył wielkie zasługi w sprawach oświaty. Wszyscy ci panowie są żonaci i posiadają liczne rodziny.

Gdy żołnierz angielski dostanie list z domu ze złą wiadomością, gdy wie, że koniecznym jest wyjazd choćby jechać trzeba było z samego końca świata — to może być pewien, że prośba jego nie będzie jednym więcej „papierkiem”, który ktoś załatwi lub nie, ale że traktowany będzie indywidualnie przez ów sześciu sprawiedliwych ludzi, którzy zrobią wszystko, aby wejść w jego sytuację i pomóc mu.

Może ktoś powie, że to jest właśnie demokracja. To jest coś znacznie więcej: to jest kultura, której cechą jest zawsze szacunek dla jednostki, dla człowieka.



Sześciu sprawiedliwych przy pracy

OKŁADKA: Naczelny Wódz i Generał W. Anders. Fot. inż. W. Ostrowski

Str. 3 i 4: Naczelny Wódz i Generał Alexander, fot. Fudakowski, inż. W. Ostrowski i F. Mellniak

Str. 6 i 7: fot. W. Rajkowski
Str. 8 i 9: inż. W. Ostrowski i F. Mellniak

Str. 14 i 15: fot. APW

Układ graficzny:
JERZY MŁODNICKI



Irak — Saper



Dżafat-Abad — Płaskorzeźba (zdjęcie dolne) i mozaika (zdjęcie górne) przedstawiająca „Rysie”, „Żbiki” i „Wilki”

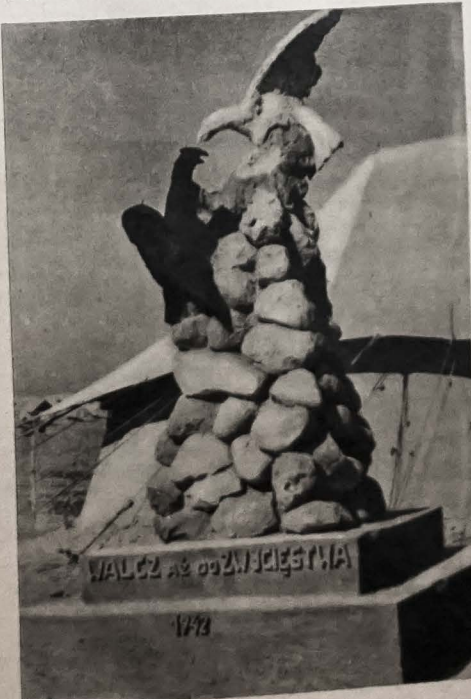
ZNAKI PRZYDROŻNE

Szliśmy przez kraje dalekie — przez tajgi, stopy, góry i pustynie. Instynkt utrwalania biegnącej chwili przejawiał się w niezliczonych rzeźbach, pomnikach, mozaikach — które jak znaki przydrożne znaczą dziś szlak wędrowny polskiego żołnierza. Rosja: u stóp Pamiru, w wyżłobionym amfiteatrze odbywają się wykłady. Aż tu dotarł wielki Aleksander ze swoimi Macedończykami, i oto zbocza amfiteatru upiększono lwem i płaskorzeźbami piechurów greckich. W Dżafat-Abad ułożono mozaikę z kolorowych kamieni. Również motywy greckie, ale rydwan zwycięstwa ciągną „Rysie”, „Wilki” i „Żbiki” symbolizujące nazwy naszych jednostek. W Kozielecku powstał obraz (płaskorzeźba) M. B. Kozieleckiej, wykonany przez ppor. Tanośtek. (Obecnie znajduje się w kaplicy polowej D-twa APW). Płaskorzeźby robiono, deusza Z., na desce. (Obecnie znajduje się w kaplicy polowej D-twa APW). Orzeł ułożony z kamienia w obozie jeńców, igłą i gwoździem, materiał — kość wycięgnięta z zupy. Orzeł ułożony z kamienia w obozie jeńców, igłą i gwoździem, materiał — kość wycięgnięta z zupy. Orzeł ułożony z kamienia w obozie jeńców, igłą i gwoździem, materiał — kość wycięgnięta z zupy. Orzeł ułożony z kamienia w obozie jeńców, igłą i gwoździem, materiał — kość wycięgnięta z zupy.



Kozieleck — Płaskorzeźba wykonana w kości igły i gwoździem

Irak — Pomnik wykonany przez żołnierzy



Orzeł — mozaika z kamyków — typowe upiększenie terenu przed namiotami



MATKA BOSKA KOZIELSKA
(RZEŻBA WYKONANA W OBOZIE JEŃCÓW)